

Mońska-Staniakowa, Anna

Tajne nauczanie w Sobieniach Jeziorach

Szkice Podlaskie 5, 95-107

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ANNA MOŃKA-STANIAKOWA

Tajne nauczanie w Sobieniach Jeziorach

Schylek życia, jakby w rekompensacie za jego uciążliwości, nasuwa nam obrazy dawno przeżytych zdarzeń, narzuca natarczywe wspomnienia ludzi i faktów, z którymi zetknął nas los. Ten czas rozrachunku z własną przeszłością przywołuje często na pamięć wydarzenia z czasów młodości, tego najpiękniejszego pod słońcem okresu życia. Niektóre z nich przewijają się w naszych myślach jak wycięte z filmu pojedyncze obrazy, tak żywe jakby oglądane wczoraj; inne wracają do nas w nikłych zaledwie zarysach. Siła tych pierwszych, szturmujących świadomość, wydaje się świadczyć o znaczeniu, jakie miały one dla nas kiedyś. Ten ich subiektywny charakter jest jednak także ilustracją pewnych aspektów miejsca i czasu, w których się rozgrywały jako fakty rzeczywiste, wywołujące autentyczne przeżycia i doznania.

A był to tragiczny czas wojny, który mojemu pokoleniu przypadł na najwspanialszy okres życia — okres lat studenckich. Przeżyłam go w większości w dawnym powiecie garwolińskim na obrzeżach Podlasia. Cisnące się na pamięć fragmenty tamtych zdarzeń układają się w pewną wycinkową całość własnego życiorysu, który był jedną z wielu życiorysowych odmian, jakie tamten czas wyznaczył mojej generacji. Zaangażowana w walkę z okupantem niemieckim, wypełniała ona swoje historyczne zadania z bronią w ręku oraz w innych formach konspiracyjnego ruchu oporu.

Ważnym jego frontem było tajne nauczanie, ta przednia straż walki o tożsamość narodową i zachowanie kulturalnego dziedzictwa pokoleń. Jego zasięg i formy organizacyjne obejmowały całe szkolnictwo: od kompletów uzupełniających oficjalne nauczanie powszechne — tam gdzie okupant zezwalał na jego funkcjonowanie przy zmniejszonym do minimum programie — poprzez zorganizowaną sieć szkolnictwa średniego aż do działających w ukryciu uniwersytetów. Tej pięknej karcie dziejów oświaty i szkolnictwa polskiego poświęcono już wiele źródłowych opracowań, nie ma potrzeby opisywać ich tutaj w ich szerszym zasięgu.

I ja moje osobiste losy, młodej studentki mającej za sobą pierwszy rok studiów w Wyższym Katolickim Studium Społecznym w Poznaniu, związałam w działalności konspiracyjnej z tajnym nauczaniem. Swoje w nim uczestnictwo i aktywność skoncentrowałam na szkole średniej, ściślej mówiąc na przygotowywaniu młodzie-

ży do małej matury wieńczącej cykl 4-letniego gimnazjum będącego pierwszym szczeblem średnim¹.

Tajne nauczanie rozpoczęłam w majątku hr. Jezierskich w Sobieniach Szlacheckich, łącząc je z nauczaniem prowadzonym w sąsiednim miasteczku Sobienie Jeziory w dawnym powiecie garwolińskim. W Sobieniach Szlacheckich znalazłem się wraz z rodziną mojego wakacyjnego przed wrześniem ucznia — Piotra Żychlińskiego. Jego matka Izabella, z domu Jezierska, znalazła tu w swoim dawnym domu rodzinnym schronienie po wysiedleniu z Usarzewa pod Poznaniem, które było rodowym majątkiem Żychlińskich. Właścicielką majątku Sobienie była bratowa Izabelli Żychlińskiej — Zofia Jezierska z domu Potocka, córka byłego namiestnika Galicji — Andrzeja Potockiego, hrabiego na Krzeszowicach pod Krakowem. W tych to Sobieniach rozpoczęłam moje okupacyjne losy i wojenne doświadczenia.

Niedługo po przyjeździe do Sobień, jeszcze w grudniu 1939 r., ulegając prośbom rodziców mojego ucznia, pojechałam raz jeszcze do Usarzewa, aby załatwić im pewne sprawy z pozostałym tam jeszcze ich rządcą — S. Pawłowskim. Moim zadaniem było przekazać mu różne, dotyczące majątku, instrukcje, dotrzeć do ukrytych zasobów pieniężnych i przewieźć je do Warszawy.

Dzięki wyrobionej dla mnie przepustce, koniecznej do przekroczenia świeżo utworzonej granicy między Poznańskiem włączonym do Reichu a Generalną Gubernią, łatwo dotarłem na miejsce. Było to wszak niedawno po zakończeniu działań wojennych, ruch przez granicę był duży. Niemcy nie wprowadzili jeszcze tych rygorystycznych przepisów, które już w roku następnym uniemożliwiłyby taką wyprawę. Ponadto młodość, nieświadomość niebezpieczeństw na jakie podróż ta mogła mnie narazić, dodawały mi odwagi.

Do ukrytych na pałacowym strychu pieniędzy dotarliśmy z S. Pawłowskim bez przeszkód. Wyłonił się problem jak je przewieźć; fantazja i zamiłowanie do lektury podsunęły pomysł. Dolarowe banknoty upchałam do grzbietów oprawnych w czerwone płótno trzech tomów „Wojny i pokoju” L. Tołstoja. Po wejściu w Poznaniu do pociągu położyłam je na siatce pod półką na bagaż, jeden tom wzięłam do ręki i zagłębiłam się w lekturze.

W pociągach nie było jeszcze w tych pierwszych po działaniach wojennych miesiącach, wyodrębnionych miejsc „nur für Deutsche”. Razem z uciekinierami lub, jak ja, z pozoru zwykłymi pasażerami, podróżowali więc i niemieccy wojskowi. Do naszego przedziału na wolne jeszcze miejsca dosiedli się w Poznaniu dwaj oficerowie, którzy, jak to później nam oznajmili, wieźli dla kolegów szampana, którym mieli fetować swoje nad nami zwycięstwo przy okazji zbliżającego się nowego roku. Jechali do Koła, gdzie była granica z Reichem i gdzie odbywała się kontrola paszportowa. Siedzący obok nich dwaj panowie, w wieku około 40 lat, władający dobrze językiem niemieckim, wdali się z nimi w rozmowę. W miarę jak dialogi się ożywiały,

panowie opowiedzieli swoim rozmówcom najnowsze wojenne dowcipy, z których zresztą słynęła okupowana Polska. Dowcipy panów miały za przedmiot niemiec-
kie, ożywione teraz narodową dumą, mniejszości na wschodzie oraz polskich
kandydatów na Voksdeutschów, kończyły się one pointą, iż ciż Baltendeutsche
mówią jedynie po łotewsku, Sudetenedeutsche mówią po czesku, Voksdeutsche
mówią po polsku, a zdumieni tym wszystkim Reichsdeutsche „sind Sprachlos”.
Oficerowie rechotali uprzejmie, mówili o swoim szampanie i wysiedli w zbliżają-
cym się Kole.

Po kilku zaledwie minutach weszło do przedziału trzech żandarmów. Dobrze
poinstruowani wskazali na dwóch dowcipkujących jeszcze przed kwadransem
panów i pod strażą zabrali ich ze sobą, tylko ich pochylone sylwetki mignęły nam
jeszcze na peronie. W przedziale zaległa trwożna cisza; jaki był dalszy los
zabranych, można było tylko przypuszczać.

W oczekiwaniu na kontrolę paszportową zdenerwowanie, choć starannie
ukrywane, ogarnęło wszystkich w przedziale. Potęgował je krzyk dziecka na
wprost mnie. Za chwilę pojawił się niemiecki konduktor, sprawdził nasze
przepustki i czekał na okazanie tegoż dokumentu przez moją sąsiadkę vis-a-vis.
Dziecko, zalane łzami, krzyczało rozpaczliwie. Zdenerwowana jego matka,
z wypiekami na twarzy, szukała w torebce nieszczęsnej przepustki. Wyrzucała
z niej różne rachunki, pokwitowania itp., a dokumentu nie mogła znaleźć.
Konduktor czekał. Poirytowany krzykiem małej ostro przykazał szukać przepus-
tki, gdy on tymczasem będzie przeprowadzał kontrolę w przedziałach następnych.
Płacz dziecka, zdenerwowanie matki i nas wszystkich spotęgowały nasz niepokój.
Moje prośby skierowane do sąsiadki, aby dokładnie przejrzała torebkę, a ja w tym
czasie potrzymam dziewczynkę, nie odnosiły żadnego skutku, a konduktor mógł
lada chwila nadejść. Widocznie jednak czas przewidziany na postój pociągu już
minął i konduktor w naszym przedziale ponownie się nie zjawił. Po godzinie
rozpaczliwych poszukiwań zaginionej przepustki pociąg ruszył.

Upłynęło niewiele minut i dziecko ucichło. Po następnych kilkunastu jego
matka, już znacznie spokojniejsza, nachyliła się nade mną, aby mi poufnie
powiedzieć, że żadnej przepustki nie miała, że celowo szczypała małą, aby jej płacz
odwrócił uwagę konduktora. Pomysł okazał się skuteczny, a gra przy jego realizacji
wykonana była po mistrzowsku, zwłaszcza przez nieświadomą swojej roli
dziewczynkę.

Także i ja z moimi cennymi w zawartość pieniężną tomami z ogromną ulgą
odczułam odjazd pociągu. Tak wzbogacona pierwszymi okupacyjnymi doświad-
czeniami przybyłam do Warszawy, gdzie wartościową przesyłkę i relacje z mojej
wyprawy przekazałam ojcu mojego ucznia.

Następnego dnia przybyłam już do Sobień, gdzie przez parę okupacyjnych lat
miałam pozostać i przeżyć dalsze doświadczenia.

Na początku mojego konspiracyjnego nauczania we dworze jedynym moim
uczniem był wspomniany Piotr Zychliński, chłopiec inteligentny i z fantazją, choć
nie bardzo skory do nauki. Na różne moje starania o większą pilność i perswazje, że

przyszłość Usarzewa może okazać się niepewna, że trzeba się uczyć, aby zdobyć zawód, odpowiadał niezmiennie, że jeśli straci majątek to „wyjedzie do Ameryki czy Brazylii” i tam „też będzie panem”. Najwidoczniej ufał swojej zaradności, gdyż zaraz po wojnie wyemigrował na zachód, osiadł potem w Kanadzie, założył rodzinę, jest biznesmenem i zamożnym człowiekiem.

Doprowadziłam jego edukację do małej matury, podjął następnie dalszą naukę, ale już nie w Sobieniach i nie pod moją opieką.

Do towarzystwa Piotra dość szybko dołączył jego rówieśnik — 16-letni Jerzy Cygan, syn pracownika w majątku Z. Jezierskiej, bardzo przez nią lubiany i wyróżniany. Jego wybitne zdolności i chęci do nauki, jak również widoczne już w tym wieku inklinacje do życia w stanie duchowym, zyskiwały mu sympatię i życzliwość otoczenia. Nim został moim uczniem, widywałam często jego uśmiechniętą twarz o bystrych, czarnych i wesołych oczach. Jego wpływ na stosunek Piotra do nauki okazał się bardzo korzystny. Dziś ów wesoły wówczas Jurek jest dostojnym i niezmiennie pogodnym Ojcem Marianem w Zakonie OO Kapucynów. Ma za sobą wieloletni pobyt w Rzymie, jest autorem cenionych prac historycznych, wśród których wielkim jego osiągnięciem jest napisane po łacinie obszerne dzieło o Valerianie Magnii². Swoją rozległą wiedzę wykorzystuje teraz na stanowisku profesora w Filii AWF w Białej Podlaskiej. Tak więc obaj moi „dworscy” uczniowie zrealizowali swoje życiowe plany i osiągnęli, niemożliwe wówczas do przewidzenia, zawodowe sukcesy i satysfakcję.

A wokół nas rozwijały swoją działalność konspiracyjne organizacje. W okolicznych lasach szkoliły się bojowe oddziały powiązane różnymi nićmi i stopniami wtajemniczenia z pracownikami majątku. Niektórzy z nich, pod różnymi pseudonimami (Lewandowski, Lisek), sprawując fikcyjne funkcje rządców i leśników byli faktycznymi dowódcami zaprzysiężonych pracowników dworu.

Konspiracyjna prasa, w szczególności „Biuletyn Informacyjny”, systematycznie były przez nas czytane. Z ukrytego na strychu pałacu aparatu radiowego miewaliśmy bezpośrednie wiadomości z Londynu o sytuacji na frontach wojny. Zofia Jezierska i przebywająca u niej często jej siostra Krystyna Siemieńska przedzierały się tajemnym wejściem na ów strych, aby wysłuchać podawanych po angielsku i po polsku najnowszych wiadomości z BBC.

Z uwagi na wizyty Niemców lub ich wysłanników, którzy w sprawach dostaw żywnościowych lub pod ich pozorem nieoczekiwanie przyjeżdżali do dworu, wszelką konspirację, w tym także i nasze lekcje, trzeba było maskować różnymi formami dworskich zajęć i legitymować się odpowiednimi do nich dokumentami. Mój oficjalny dowód pracy (Arbeitskarte) opiewał na funkcję Hilfspähterin. Ogród w majątku był duży i starannie uprawiany, taka funkcja była więc wielce prawdopodobna.

Przez majątek przejawiało się w ogóle wiele różnych osób. W pierwszym roku okupacji na Wielkanoc 1940 r. Z. Jezierska zaprosiła sporą grupę zinvalidowanych uczestników kampanii wrześniowej, którzy liczyli różne kontuzje w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Byli to przeważnie oficerowie różnych stopni.

Spędzili w majątku święta, uroczyście dla nich zorganizowane, kilka dni odpoczywali jeszcze, opowiadali nam o swoich frontowych przeżyciach i po jakichś dziesięciu dniach odjechali do Warszawy.

Jeden z nich — były rotmistrz Krechowickiego Pułku Ułanów — Michał Jaczyński zaproszony został przez Z. Jezierską na dłuższy w Sobieniach pobyt. Był to pan po 40-tce, miał za sobą ciężkie przeżycia na froncie. Walczył w okolicach Białegostoku, tam też dostał się do niewoli i ciężko ranny znalazł się w białostockim szpitalu. Trochę podleczoney, już po amputacji całej prawej nogi, pragnął za wszelką cenę przedostać się do Warszawy. Krażyły bowiem uporczywe pogłoski, że sowieci, którzy po 17 września zajęli te tereny, wywożą wszystkich polskich oficerów na Syberię. Przy czyjejś życzliwej pomocy został przeprowadzony przez zieloną granicę między Białostoczyczną a Generalną Gubernią i stosunkowo szybko znalazł się w Szpitalu Ujazdowskim. Stamtąd wraz z innymi inwalidami przyjechał na wielkanocne święta do Sobień.

Jego pobyt w majątku, doskonała znajomość języka niemieckiego, gdyż tuż przed 1-szą wojną światową ukończył w Bydgoszczy gimnazjum z niemieckim językiem wykładowym, okazały się w majątku bardzo przydatne z uwagi na częste i nieoczekiwane wizyty Niemców. Mimo swojego ciężkiego inwalidztwa i martwego jednego oka, kontuzjowanego, gdy brał udział w powstaniu wielkopolskim, Jaczyński był człowiekiem o żywym usposobieniu, dowcipnym i życzliwym. Miałam okazję przekonać się o tym osobiście, gdy z własnej inicjatywy prowadził ze mną niemieckie konwersacje. Wkrótce stał się domownikiem i pomocnikiem Z. Jezierskiej w prowadzeniu majątku. Znał się zresztą na tym, gdyż sam wywodził się z ziemiańskiego środowiska z Wielkopolski.

Przyjeżdżali też do majątku na krótki lub dłuższy pobyt jej krewni, pozbawieni własnych posiadłości na wschodzie, a także inni, przybywający tu z jakichś politycznych powodów lub zaproszeni przez nią na krótsze czy dłuższe wakacje różni jej powinowaci, znajomi, a także całkiem nieznanie jej, polecane przez zaufanych, osoby. Dom był gościnny i gromadził różnych wojennych rozbitków.

W tym różnorodnym towarzystwie większość stanowili jednak ludzie o znanych arystokratycznych i ziemiańskich nazwiskach. Miałam sporo okazji do rozmów z nimi, do poznania niektórych z nich bliżej i do poczynania wielu interesujących obserwacji o tej schodzącej już ze sceny warstwie społecznej.

Mimo szalejącego wokół nas terroru i niespodziewanych różnych niemieckich inspekcji, pracowaliśmy z moimi dworskimi uczniami intensywnie; systematycznie realizowałam z nimi program nauczania przygotowując ich do egzaminu. W chwilach wolnych od zajęć z nimi i od lekcji na kompletach w miasteczku korzystałam z zasobnej w bardzo wartościowe dzieła biblioteki dworskiej. Tam właśnie zachwytiłam się głośną przed wojną książką Alexisa Carella *Człowiek — istota nieznana*.

Moje zajęcia pedagogiczne w Sobieniach Szlacheckich, po dwóch prawie latach tam pobytu, dobiegały powoli końca. Obaj moi uczniowie wybierali się na dalszą naukę do Warszawy.

We dworze także zaszły pewne zmiany. Niektórzy z jego pracowników, będący zarazem organizatorami wojskowej konspiracji, przenieśli się do innych miejscowości (nadleśnictwo Łucznicza), inni wyjechali, a na ich miejsce przybyli nowi podejmujący funkcje i zadania poprzedników, tak w gospodarstwie, jak i w lasach przynależnych do majątku.

Latem 1941 r. przenieśliśmy się ze dworu, utrzymując stały kontakt z jego mieszkańcami, do oddalonych o kilometr Sobień Jezior. Była to przeprowadzka do drugiego miejsca mojego tajnego nauczania. W połowie 1940 r. zorganizowałyśmy tam wraz z Katarzyną Augustyniak — studentką filologii klasycznej na UW, pochodzącą z tych stron i znającą miejscowe stosunki, tajne komplety dla miejscowej młodzieży. Lekcje odbywały się w mieszkaniach niektórych z naszych uczniów. Przez pierwszy rok była wśród nich także moja siostra Walentyna Mońka, która aż spod Częstochowy przyjechała do mnie, aby tu się uczyć.

Liczba naszych uczniów, podzielonych na małe grupy, była dość znaczna, w zależności od okresu wahała się w granicach 20–25 osób. Po moim zainstalowaniu się w miasteczku, w pokoiku stojącego na ustroniu domu J. Fryndta, właściciela miejscowego sklepu, nadałyśmy naszym kompletom bardziej zwartą organizację. Przedtem woziłyśmy naszych uczniów na egzaminy promocyjne do Sióstr Nazaretanek, które miały zakonspirowane gimnazjum na ul. Czerniakowskiej w Warszawie. Było to jednak ze względu na podróże i wymogi bezpieczeństwa dość uciążliwe. Teraz nad kompletami naszymi roztoczyło opiekę, działające pod pozorem szkoły zawodowej, państwowe gimnazjum w Garwolinie. Zostaliśmy włączeni w garwolińską sieć konspiracyjnego szkolnictwa średniego, nad którą organizacyjny nadzór z ramienia TON (Tajna Organizacja Nauczycielska) sprawował dyrektor tego gimnazjum J. Zins.

Uczniowie nasi, jak już wspomniałam, rekrutowali się przeważnie spośród ludności miejscowej. Kilkoro wśród nich było przybyszami z Poznańskiego, którzy wraz z rodzinami, po wysiedleniu stamtąd, znaleźli w Sobieniach schronienie. Byli między nimi: chłopiec o nazwisku Kazimierz Rakowski oraz Maruszka Szyperówna, która wraz z matką i dwoma siostrami przywędrowała tu z majątku Jarosławiec w Poznańskiem; do tej grupy przybyszów należała też i moja siostra.

Z miejscowej młodzieży pamiętam dobrze dwie panny Sierakowskie — córki miejscowego sekretarza gminy, rodzeństwo Białeckich, siostry Kajkówny, córki urzędnika tejże gminy, H. Dąbrowską, M. Smereczyńską, U. Gralewską, Jerzyka Pióro i Stasia Sosnowskiego ze dworu.

Ze względu na różne stopnie zaawansowania w nauce oraz z powodów konspiracyjnych podzieliłyśmy naszych uczniów na mniejsze grupy. Każda z nas prowadziła lekcje w swoich mieszkaniach, oddalonych od siebie dwiema ulicami.

W Sobieniach Jezorach stacjonował dość liczny oddział niemieckiej żandarmerii, ale miejscowa ludność, zainteresowana powodzeniem naszej pracy, skutecznie czuwała, przynajmniej do czasu, nad naszym bezpieczeństwem. Bywały nawet takie okresy, że z liczniejszymi grupami uczniów, których trudno było pomieścić

w naszych pokoikach, prowadziłam lekcje w budynku szkoły powszechnej dość oddalonej od centrum miasteczka.

Atmosfera pracy z naszymi uczniami była wspianiała; chętni do nauki, przestrzegający zasad konspiracji, nie przysparzający żadnych dydaktycznych ani wychowawczych problemów, uczyli się szybko i pilnie, co potwierdzały promocyjne egzaminy w zakonspirowanym garwolińskim gimnazjum.

Nawiązaliśmy też kontakt z jednym ze Stalagów, aby przesyłać paczki jednemu z jego jeńców, którego nazwisko już zatarło mi się w pamięci. Przysłał nam kilka listów z podziękowaniem oraz fotografię z dedykacją dla uczniów, które przepadły w okolicznościach związanych z moim nagłym stamtąd wyjazdem.

Tymczasem w czerwcu 1941 r. rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka, wojna niedawnych sprzymierzeńców dla rozbioru Polski. Niemiecki reżim i terror bardzo się zaostrzyły, zmuszając do dodatkowych ostrożności we wszystkich konspiracyjnych działaniach. Grozę wojny potęgowały eskadry ciężkich niemieckich bombowców wylatujących z wojskowego lotniska, ulokowanego gdzieś po drugiej stronie Wisły. Ze swoim śmiertcionośnym ładunkiem kierowały się na wschód. Każdego dnia o zmierzchu słyszeliśmy rozdzierający wieczorną ciszę huk tych maszyn, niesamowity w swej grozie przypominał wrześnie nad Polską naloty. Nad ranem słycać było powrót niektórych z nich — już nie w bojowym ordynku.

Z dworem w Sobieniach Szlacheckich utrzymywałam stały kontakt. Często tam bywałam i byłam na ogół zorientowana w tamtejszych sprawach. Wczesną wiosną 1942 r. zaczęto mówić o małżeństwie Z. Jezierskiej z M. Jaczyńskim. Istotnie, w maju odbyły się uroczyste ich zaręczyny, a ślub wyznaczono na 16 czerwca 1942 r.

Gdy wszystko było już do tej uroczystości przygotowane, dwór był pełen krewnych i innych zaproszonych gości obojga, nagle pojawiło się Gestapo. Po krótkim we dworze pobycie i bez żadnego podania powodu zabrało niedoszłych małżonków. Było to jak grom z jasnego nieba, nikt już ich więcej nie zobaczył. Na temat tego aresztowania krążyły różne wersje, żadna nie okazała się wiarygodna³.

Gdy niedługo po wojnie rozmawiałam na ten temat z siostrą Z. Jezierskiej — hrabiną Krystyną Siemieńską, to powiedziała mi ona, że na procesie niemieckiego gubernatora Warszawy Fischera pytano go o okoliczności śmierci zabranych, Niemiec jednak oświadczył, że nie są mu znane jakiegokolwiek okoliczności tego wydarzenia.

Wkrótce na Sobienie Jezioro spadły nowe, ciężkie doświadczenia. Przed wojną znaczną część ich mieszkańców stanowiła ludność żydowska. Teraz w 1942 r. Niemcy zaczęli tu gromadzić Żydów z okolicznych miejscowości, zwłaszcza bardzo liczną ich grupę z Góry Kalwarii. W Sobieniach utworzono duże, liczące kilka tysięcy ludzi, getto. Stłoczeni w starych, często zrujnowanych domach, w okropnych warunkach sanitarnych, dziesiątkowani tyfusem plamistym cierpieli nieopisane męczarnie i dotkliwy głód. Wiczorami, już po godzinie policyjnej, niektórzy przedzierali się przez otaczające ich ogrodzenia w poszukiwaniu żywności lub możliwości ucieczki i schronienia. Były to wy-

prawy grożące śmiercią w takim samym stopniu uciekającym Żydom, jak i udzielającej im pomocy ludności polskiej. Tylko nielicznym z nich udało się wydostać z tego piekła, ukryć się i przetrwać wojnę. Były to jednak nieliczne przypadki, większość przedzierających się na naszą stronę szukała ratunku przed głodem.

I do mnie przychodziła, późnym wieczorem, młoda stosunkowo kobieta imieniem Małka. Nazwiska jej nie pamiętam, nie jestem nawet pewna, czy je wówczas znałam, chodziło wszak o dostarczenie żywności dla niej i jej dzieci, a nie o jej personalia. Przygotowywałam tę żywność w ciągu dnia oczekując z niepokojem na skradanie się Małki po schodach. I na parterze domu i w dwóch pokoikach obok mojego mieszkali jeszcze inni lokatorzy, którzy mogli ją spotkać lub usłyszeć jej niepewne kroki po nieoświetlonych schodach. Nieraz odnosiłam wrażenie, że moi sąsiedzi orientowali się kto mnie odwiedza, ale nigdy się z tym nie zdradzili. Wizyty Małki, której czasem nie udawało się przedostać z getta, odbywały się u mnie przez wiele tygodni. Niekiedy zatrzymywała się dłużej, żeby porozmawiać o tragicznym losie swojego narodu i dramatycznych warunkach w getcie. W ostatnich dniach sierpnia Małka nie przychodziła już do mnie, nie wiem co się z nią stało. Może schwytali ją żandarmi, jak przedzierała się na aryjską stronę, może zachorowała na tyfus lub już bez żadnej nadziei czekała na zbliżający się koniec swojego w getcie pobytu.

Istotnie, we wrześniu 1942 r. nastąpiła całkowita jego likwidacja. Jej okrutny fragment widziałam na własne oczy. Działo się to w którąś sobotę w połowie września. Wyprowadzoną z getta ludność na wąską szosę wiodącą do Pilawy ustawiono po osiem osób w poprzek jezdni. Z dziećmi na rękach, tobołkami na plecach, poganiani z obu stron uderzeniami żandarmskich pejców, szli ku swojej zagładzie. Obraz tej maltretowanej kolumny pozostał jak żywy w mojej pamięci. Szczególnie silnie zapadł mi w psychikę jeden niesamowity, a zarazem jakże ludzki szczegół. Skrajem kolumny w jednym z rzędów szedł potykając się stary człowiek. Spadały na niego częste razy niemieckich pejców, od których miał zakrwawioną twarz i ręce. Widząc to młody człowiek, który szedł w środku szeregu, przeskoczył na jego miejsce, aby przyjąć na siebie spadające ciosy. Był to wstrząsający i niemożliwy do zapomnienia widok. Ta męczeńska kolumna została zagnana do Pilawy, gdzie umieszczono ją w zamkniętych wagonach i wywieziono do Treblinki.

Nastrój grozy w mieście, połączony z pładrowaniem żydowskiego mienia przez niektórych jego mieszkańców, były nie do zniesienia. Następnego dnia, w niedzielę, wraz z dwoma znajomymi z których jeden — S. prowadził tytoniowy sklep w Sobieniach, a jego kolega P. często u niego przebywał, wyjechałam, za ich zresztą namową, na kilka dni do Warszawy, aby oderwać się od tych makabrycznych przeżyć. Podczas naszej pieszej wędrowki po wale wiślanym do wsi Kosumice, gdzie trzeba było się przeprowiać do kolejki w Górze Kalwarii, rozstrząsaliśmy tylko wczorajsze wydarzenia. Mówiliśmy, że morze atramentu się wyleje, aby tę zagładę opisać i osądzić.

Nie był to jeszcze koniec moich przeżyć związanych z sobieńskim gettem. Któregoś dnia, już w styczniu następnego roku, w godzinach południowych przechodziłam na tyłach miejskich uliczek zamierzając przez niezabudowany placyk przejść do domu. Nagle zobaczyłam niesamowitą scenę. Po drugiej stronie placyku stało trzech żandarmów z wyciągniętymi do strzału karabinami i usiłowało celować do obnażonego do połowy człowieka. Ukryta za jakimś murkiem, z łomocącym sercem, widziałam te zmagania. Żyd bronił się zaciekle. Swoją zawieszoną zapewne koszulę usiłował rzucić na okrażających go żandarmów. Ci odskakiwali od niego chcąc osiągnąć niezbędną do strzału odległość. Ten straszliwy pojedynek trwał kilka minut, zanim jednemu z oprawców udało się odskoczyć na tyle, żeby oddać do nieszczęśnika jeden śmiertelny strzał. Był to Żyd ukryty w jakiejś ruderze byłego getta, którego Niemcy wykryli przeszukując ciągle ten teren. Takich egzekucji było na pewno więcej, ja natknęłam się właśnie na jedną z nich.

W Sobieniach Szlacheckich, po opisanym już aresztowaniu, dokonały się zasadnicze zmiany. Majątek przeszedł pod zarząd niemiecki, przejęty został przez tak zwany Liegenschaftsverwaltung. Na jego zarządcę, czyli tak zwanego Treuhändera, Niemcy powołali pochodzącego z Poznańskiego ziemianina — W. Liszkowskiego, który wraz z rodziną i nowym rządcą — S. Wilskim zamieszkali w pałacu Z. Jezierskiej.

Liszkowski spełniał funkcje polskiego urzędnika, wyznaczonego przez Niemców do prowadzenia majątku i regularnego dostarczania nakładanych na dwór przydziałów zboża i innych produktów. Obecność tych nowych we dworze mieszkańców nie oddziaływała, jak sądzę, na prowadzoną tam działalność konspiracyjną. Zmieniona sytuacja wymagała jednak zwiększenia czujności z uwagi na bardzo częste niemieckie wizytacje.

Dwie panny Liszkowskie — Gaba i Teresa — zostały wkrótce moimi uczennicami i znowu często bywałam we dworze. Były to dodatkowo konieczne z uwagi na moją Arbeitskarte, opiewającą ciągle na funkcję Hilfspgärtnerin.

Wizyty w majątku, którego status w nowych warunkach jego przynależności mógł się z dnia na dzień zmienić, nasunęły mi myśl, aby uratować najcenniejsze pozycje dworskiego księgozbioru. Nowi zarządcy przystali na ten projekt i tak powoli, w ciągu kilku tygodni, wynosiłam z pałacu kilkadziesiąt książek. Najwartościowsze z nich były to wielotomowa „Wielka historia powszechna” oraz pięknie wydane, o dużym formacie, zbiorowe dzieło — „Polska, jej dzieje i kultura”. Przechowywane zrazu w moim mieszkaniu, a częściowo i u miejscowego lekarza, zdołałam je następnie przewieźć do Warszawy. Złożone w piwnicy domu przy Marszałkowskiej 60, gdzie w ostatnim roku wojny mieszkałam, przetrwały nienaruszone przez czas Powstania. Jesienią 1945 r. wybrałam się ostatni raz do Sobień, aby zabrać ich resztę zostawioną u starego doktora.

Było to już w trakcie nawiązywania kontaktu z rodziną Z. Jezierskiej, z jej siostrą K. Siemieńską i jej mężem, którzy potem zabrali cały uratowany księgozbiór. Nastawieni na wyjazd za granicę sprzedali książki, które znalazły się

następnie w nowootwartej prywatnej polskiej księgarni aż we Wrocławiu. Na pamiątkę zostały mi po nich dwie pozycje z podpisem Z. Potockiej na okładce, które do dziś stoją w mojej domowej bibliotece.

Prowadzone przez nas komplety tajnego nauczania wymagały okresowych kontaktów z gimnazjum w Garwolinie, w tych celach kilkakrotnie tam wyjeżdżałam. Najczęściej korzystałam z propozycji S., owego przybysza do Sobień który prowadził skup tytoniowy i odbierał w Garwolinie przydzielany mu do niego towar. Jeździł z nim swoją furmanką trasą przez Pilawę, gospodarz K. z którejś sąsiadującej z Sobieniami wsi. Z uwagi na odległość i kilkugodzinne załatwienie spraw na miejscu wyprawa taka trwała cały dzień.

Późną jesienią 1942 r. miałam znowu coś do załatwienia w Garwolinie, o czym powiedziałam S., który bardzo często mnie odwiedzał. Pewnego dnia zaproponował mi znowu taką wspólną podróż, w której tym razem uczestniczył także jego kolega P., z którym we trójkę wyruszyliśmy do Warszawy w ową pamiętną niedzielę po likwidacji getta.

Swoje sprawy w Garwolinie załatwiłam dość szybko, moi towarzysze musieli swoim poświęcić więcej czasu niż zwykle. Zrobiło się późno, zbliżał się wieczór, zdecydowali się więc wracać krótszą drogą, z ominięciem Pilawy, przez las. Wsiadliśmy do furmanki, ja z S. na tylnym siedzeniu, dwaj pozostali na przodzie. Wszyscy byliśmy w pogodnym nastroju, księżyc oświetlał nam drogę, wokół panowała leśna cisza. W tym romantycznym pejzażu i nastroju zbliżaliśmy się do małej osady, położonej na obrzeżu nadleśnictwa Łucznicza. Nagle wyłonił się przed nami kilkuosobowy patrol żandarmerii, głośnymi „Halt” i „Ausweis” zatrzymaliśmy się natychmiast. Moi współtowarzysze zeskoczyli z wozu, ja na nim zostałam, jeden z żandarmów skierował na mnie ostry strumień światła z ręcznej latarki i dość długo i bacznie mi się przyglądał, ale nie nakazał zejść. Rozpoczęły się przesłuchania: skąd i dokąd jedziemy, dlaczego wracamy tą leśną drogą, a nie równoległą do niej szosą przez Pilawę. S. i jego kolega tłumaczyli, że przewożony towar powinien już jutro znaleźć się w sklepie w sprzedaży, że jeszcze dziś trzeba go rozładować, chcąc więc zyskać na czasie obraliśmy krótszą, tę leśną drogę. Żandarmi dokładnie sprawdzili nasze „Ausweisy”, obejrzelni rozlokowany na wozie tytoniowy ładunek, raz jeszcze oślepiłi nas wszystkich latarkami przyglądając się nam uważnie i wreszcie pozwolili odjechać. Trwało to wszystko około 25–30 minut, które nam wydawały się wlokącymi się godzinami.

Lekko smagnięty batem koń ruszył stępa i powoli odjechaliśmy w las. Na dłuższy czas zaległo wśród nas milczenie. Dopiero potem wszyscy trzej moi towarzysze stali się nagle bardzo rozmowni, tłumaczyli się przede mną, że z powodu ich opieszałości musieliśmy obrać tę leśną trasę, ale niebezpieczne i zupełnie nieoczekiwane spotkanie mamy już za sobą i nie ma potrzeby o nim myśleć. Te wylewne tłumaczenia i skierowane do mnie wyrazy serdeczności wydawały się najzupełniej naturalne. W miarę jednak, jak oddalaliśmy się od miejsca spotkania z patrolem, nastrój i humory „moich” panów bardzo się ożywiły, było widoczne, że tego animuszu dodały im wypite tuż przed podróżą kieliszki. Na jakimś etapie

naszej drogi był wąski strumień, przez który po chybotliwej kładce przeprowadzał mnie dla zabawy P. Potem P. zaczął mi się nagle zwierzać ze swoich bardzo osobistych spraw.

Wesołość tamtych dwóch i te zaskakujące zwierzenia wzbudziły moją podejrzliwość: dlaczego oni są tacy podnieceni, co się za tym kryje, o co tu chodzi? Ale Sobienie były już niedaleko, nie pytałam więc o nic; późnym wieczorem dotarliśmy na miejsce, wysiadłam.

W jakieś dwa tygodnie po tej wyprawie dowiedziałam się, nie bez zdumienia, że razem z S. siedziałam w wozie na ładunku broni przemycanej dla większego bezpieczeństwa przez las. Mój informator, poważny i doświadczony człowiek, nie powiedział mi, dla kogo była przeznaczona, przysięgą zobowiązał mnie do absolutnego milczenia. Wyraził też pogląd, że moim zadaniem jest przede wszystkim tajne nauczanie. Nie mogłam się więc przed żadnym z uczestników owej podróży zdradzić, że wiem o jej istotnym charakterze.

Zastanawiałam się potem, jakimi motywami kierował się S. — pan po czterdziestce i nieomal codzienny mój gość, decydując się włączyć mnie w tak ryzykowną wyprawę bez mojej wiedzy i zgody. Doszłam do wniosku, że w jego zamyśle, z uwagi na charakter naszej znajomości, miałam zapewne odegrać rolę jego dobrej wróżki, której nieświadomość ryzyka w obliczu ewentualnego niebezpieczeństwa może nadać naszej jeździe przez las wiarygodne pozory zwykłej podróży. Istotnie, oświetlając mnie latarką, Niemcy nie wyczytali z mojej twarzy żadnego podejrzanego strachu i zdenerwowania.

Dwaj uczestnicy tego wydarzenia — P. i S. — dawno odeszli z tego świata, nie wiem co dzieje się z trzecim. Po wojnie nie miałam już z nimi kontaktu, nie było i potrzeby roztrząsać tego wydarzenia. Zostało w pamięci jako jeszcze jedno okupacyjne i życiowe doświadczenie, jako wspomnienie jednej z form ruchu oporu.

Następne miesiące upływały w atmosferze obaw i strachu przed aresztowaniami. Już przedtem Gestapo zabrało z Sobień Jezior parę osób, w tym dwóch przybyszów z Poznańskiego, teraz przyszła kolej na innych. Wśród aresztowanych znaleźli się K. Siemierzewicz, mąż mojej byłej uczennicy Kazi Białeckiej, oraz dwaj sąsiadujący ze mną lokatorzy naszego domu na ustroniu. Byli to K. Cegłowski, mieszkający samotnie na parterze, skąd nieraz dochodziły mnie smętne melodie wygrywane na mandolinie, i J. Wielgomas, zajmujący na piętrze mały pokoik, w którym zainstalował się z żoną i uroczą córeczką Basią, moją małą przyjaciółką, nazywałam ją Baja. Do jakich ci aresztowani przedwojenni urzędnicy należeli formacji, w jaki sposób została zdekonspirowana ich działalność, kto ich zadenuncjował, nie było nam wiadomo.

I nasze komplety musiałyśmy teraz jeszcze dokładniej, niż przedtem, ukrywać. Nie było już mowy o doraźnych lekcjach w budynku szkolnym, jakie czasem udawało mi się prowadzić. Naszych uczniów trzeba było podzielić na jeszcze mniejsze grupy, liczące po parę osób, zwiększając częstotliwość spotkań z nimi. Kontakty z miejscowymi mieszkańcami ograniczyłyśmy też do minimum, aby nikomu nie rzucać się w oczy, nie wywoływać żadnych skoja-

rzeń z prowadzonymi przez nas kompletami. I we dworze bywałam teraz rzadziej, częściej przychodziły do mnie na lekcje moje dwie tamtejsze uczennice...

Mimo tych środków ostrożności i na ogół zyczeniście nastawionych do nas mieszkańców, do czego w niemalym stopniu przyczynili się księża — proboszcz ks. J. Maciejski i uciekinier z Wołynia ks. W. Hipsz nasze tajne nauczanie zbliżało się ku końcowi. Zostało przerwane nagle i z zupełnie nieoczekiwanych powodów.

Przejęcie majątku w Sobieniach Szlacheckich przez Liegenschaftsverwaltung spowodowało różne ingerencje Niemców w jego funkcjonowanie. Nakładane na dwór przymusowe dostawy produktów rolnych musiały być rygorystycznie realizowane, a jakiegokolwiek związane z tym trudności oni sami rozstrzygali w brutalny, wojenny sposób.

Właśnie wiosną, w drugiej połowie maja 1943 r. wyłoniła się taka trudność, zabrakło ludzi do przerywania dużych upraw buraków cukrowych. Sami pracownicy majątku nie byli w stanie temu sprostać. Niemcy z Liegenschaftu, dowiedziawszy się o sytuacji, polecieli żandarmom zwerbować w Sobieniach grupę młodzieży do wykonania tych prac. Taki przymusowy werbunek, tak zwane łapanki, stosowali Niemcy w Generalnej Guberni masowo, aby wywieźć ludzi na przymusowe roboty do Rzeszy. W Sobieniach chodziło o roboty na miejscu i na krótki okres.

W wyniku łapanki po domach żandarmi zgromadzili potrzebną do pracy przy tych burakach gromadkę młodych, około 20 osób. Znalazł się wśród nich chłopiec, który naszym uczniem nie był. Jego matka — Sz. — wzburzona jego zabranie, poszła na skargę do żandarmów. Oświadczyła im, że jej jedyny syn jest zmuszony do pracy w polu, podczas gdy są tu tacy, którzy się potajemnie uczą, a lekcje z nimi prowadzą przybyłe dwie studentki i wymieniła nasze nazwiska. Żandarmi oświadczyli, że zawiadomią o tym Gestapo w Garwolinie.

Informacje o donosie i o reakcji żandarmów dotarły do nas lotem błyskawicy, natychmiast też rozeszły się po mieście; trzeba było szybko ze Sobień uciekać. Nie pamiętam już, w jaki sposób dotarły te wieści do majątku.

Na polecenie W. Liszkowskiego, w wyznaczonym przez niego miejscu, czekała na mnie bryczka z wtajemniczonym w sprawę stangretem Franciszkiem Kędziorkiem. Rodzice moich uczniów, przy zachowaniu wielkich ostrożności, pomogli mi dotrzeć z walizką do tego pojazdu. Polnymi drogami, dla zmylenia ewentualnego pościgu, dzielny Franciszek i rączę konie dowieźli mnie szczęśliwie do Otwocka, skąd kolejką przyjechałam do Warszawy. Inni rodzice zajęli się Katarzyną, przewieźli ją na drugą stronę Wisły, gdzie dotarła do Warki. Przeczekawszy tam jakiś czas, przyjechała potem także do Warszawy.

Na polach, przez które uciekałam, była piękna wiosna, a ja jechałam smutna i napięta. Już w kolejce rozmyślałam sobie, że oto drugi raz w okresie mojej w Sobieniach działalności uniknęłam aresztowania. Pierwszy raz, być może, dzięki własnej nieświadomości ryzyka, w jakie zostałam włączona, a teraz drugi raz dzięki pomocy wszystkich tych, którzy ochraniaли nasze tajne nauczanie.

Modliłam się w duchu prosząc Opatrzność o dalszą nade mną opiekę. A w tym czasie, gdy każda z nas uciekała w inną stronę, garwolińskie Gestapo jechało po nas.

Uczniowie nasi już sami załatwiali sobie potem w garwolińskim gimnazjum potwierdzenia swojego uczestnictwa w kompletach i zaświadczenia o zdanych egzaminach.

Gdy po wojnie, jak już wspomniałam, byłam w Sobieniach po resztę dworskiego księgozbioru, stary doktor K., u którego książki były złożone, sugerował mi, abym informacje o opisanym donosie Sz. przekazała odpowiednim władzom. Przekonywał mnie, że powinna ona ponieść teraz konsekwencje swojego czynu.

Nie zrobiłam tego. Powiedziałam doktorowi, że ta prosta kobieta zapewne nie zdawała sobie sprawy w pełni z następstw swojego postępków, że być może żałowała go potem. Nigdy zresztą się z nią już nie zetknęłam.

Spędzony w Sobieniach — i w majątku i w miasteczku — okres życia wspominam z rozrzewnieniem. Prowadzona tam praca dawała mi wiele satysfakcji i poczucie spełnienia patriotycznego obowiązku, pozwalała zetknąć się z ciekawymi ludźmi, podziwiać skrywane bohaterstwo niektórych, zaznać ludzkiej solidarności w niebezpieczeństwach, jakie niosła wojna. Czyniąc zadość wewnętrznej potrzebie, przywoływałam tu cienie niektórych z nich, wspomniałam zapamiętane nazwiska moich uczniów. Ich powojenne losy tylko w nielicznych przypadkach są mi znane, rozjechali się w różne strony, niektórzy, jak J. Pióro, przepadli bez wieści.

A ja? Wróciłam do roli studentki na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich w Warszawie, jak nazywał się zakonspirowany tu Uniwersytet Poznański. W moim wynajętym na Marszałkowskiej pokoiku często odbywały się wykłady i seminaryjne zajęcia z socjologii, którą studiowałam.

Działalność i doświadczenia z tego ostatniego roku wojny i przeżycia z czasów Powstania Warszawskiego to już jednak odrębny rozdział mojego życiorysu.

PRZYPISY

¹ Reforma szkolna z 1932 r. wprowadziła dwustopniowe szkolnictwo średnie: 4-letnie gimnazjum (po ukończeniu 6 klas szkoły powszechnej) kończące się małą maturą i 2-letnie liceum kończące się dużą maturą uprawniającą do podejmowania studiów wyższych.

² Jerzy Cygan, *Valerianus Magni (1586–1661). „Vita prima”, operum recensio et bibliographia*, Romae 1989, s. 461.

³ Wyczerpująco o tym wydarzeniu pisze J. Cygan, *Bohaterska dziedziczka Grabowca i Sobień — Zofia Maria Jezierska*, „Podlaski Kwartalnik Kulturalny” nr 2/20/93.